

Śmierć nauczyciela

Na tę dziwną i straszną historię natknąłem się w starej, niemieckiej książce z 1925 roku. Pewien nauczyciel, Erich Weijand z Walimia (wtedy był to Wüstewaltersdorf) opowiada tam o bardzo dziwnym wydarzeniu, jakie miało miejsce około 1780 roku, w niewielkiej kolonii w pobliżu Glinna, nazywającej się obecnie Modlęcin, a wówczas zwanej Friedersdorfem.

Ta luźno zabudowana niewielka górská osada w dolinie Młynówki w Górach Sowich zajmuje niezalesioną część doliny pomiędzy wzniesieniami Przygodna Kopa na południowym zachodzie i Ostrzewem na północnym wschodzie. Jej zabudowania leżą na wysokości około 600–650 m n.p.m. Przez osadę przechodzi, mało uczęszczana lokalna droga z Lubachowa przez Michałkową i Glinno do Walimia, po przejściu przez Przełęcz Walimską. Otoczenie osady stanowią rozległe łąki i pastwiska na zboczach Działu Michałkowskiego.

Data powstania osady nie jest znana. Pierwsze zabudowania powstały prawdopodobnie w XVI wieku jako kolonia Glinna (wtedy Heinrichau). Pierwsze zapiski o osadzie pojawiły się w dokumentach dopiero w 1608 roku. W początkowym okresie osada Friedersdorf rozwijała się bardzo wolno. Ożywienie przyniósł wiek XVIII wiek, gdy wszystkie okoliczne wsie przekształciły się w ośrodki tkactwa chałupniczego.

Przytaczam tę opowieść w prawie dosłownym tłumaczeniu, stąd pojawiające się czasem archaiczne określenia i zwroty.

Wszyscy przeczuwali, że podczas pogrzebu nauczyciela, rolnika i tkacza Heinricha Stephana zdarzy się coś wyjątkowego, jakaś nieprzewidziana katastrofa. Nikt nie potrafił jednak tego nieokreślonego przecucia sensownie wyjaśnić.

Do wszystkich kilkunastu mieszkańców Friedersdorfu dotarł właśnie nekrolog napisany przez samego umierającego, w którym prosił o odprowadzenie go do grobu.

Wcześniej zdarzało się już, że umierający sam pisał nekrolog, lecz często bywało też, że potem, gdy stan zdrowia chorego się poprawiał, zapominał o tym. Jednak przetrzymywanie takiego zawiadomienia w domu nie było mądre, bo to tak, jak gdyby człowiek sam wzywał śmierć do swego domostwa.

Tym razem nekrolog dotarł do wszystkich; najpierw dziecko zostało wysłane do pierwszego domu, a potem pierwszy zawiadomiony biegł do najbliższego sąsiada, ten znowu zawiadamiał następnego, itd.

Informacja dotarła więc do wszystkich; ponieważ wszyscy go znali, dlatego chcieli zobaczyć i pożegnać zmarłego. Już wczesnym rankiem cała wieś wiedziała: Johann Heinrich Stephan nie żyje. Zmarł w nocy jak każdy inny śmiertelnik. Choć nieco dziwnym i niezrozumiałym było to, że umarł zaraz po napisaniu zawiadomienia o własnej śmierci.

To były ciężkie czasy. W czasie wojny siedmioletniej Fryderyk II toczył zaciekle boje z Austrią o władanie nad prowincją śląską. W 1757 roku armia pruska rozbiła pod Lutynią armię austriacką i do zimy 1758 roku prawie cały Śląsk, za wyjątkiem zaledwie kilku przygranicznych powiatów, znalazł się w rękach Prusaków. W 1760 roku Austria, wspomagana przez swych sprzymierzeńców, podjęła zdecydowaną i energiczną akcję w celu odzyskania swych dawnych ziem. Kiedy Fryderyk II wraz z główną armią przebywał w Saksonii, wojska austriackie pod wodzą generała Laudona natarły na Pogórze Sudeckie, wypierając Prusaków. Jednak do końca jesieni 1760 roku Fryderyk II, po raz kolejny, zdołał odzyskać prawie wszystkie utracone wcześniej miasta w Sudetach. W rękach austriackich pozostała jeszcze

część Górnego Śląska oraz znaczna część ziemi kłodzkiej, które to tereny wciąż stanowiły bazę wypadową dla wojsk austriackich. Do tego na przełomie 1760 i 1761 roku we Wrocławiu wybuchła zaraza, która pochłonęła kilkanaście tysięcy ofiar: żołnierzy pruskich, austriackich jeńców oraz zwykłych mieszczan.

Gnębiona i łupiona przez obie strony ludność Śląska nie mogła zaznać spokoju. Pobór do wojska, kontrybucje i ciągłe rekwizycje żywności doprowadzały mieszkańców miasteczek i wsi do ruiny. Dopełnieniem nieszczęść była zaraza, która rozlewała się po całym terenie pogórza. Pokój podpisany w 1763 roku, zakończył wreszcie tę wojnę i ostatecznie potwierdził przynależność prawie całego Śląska do Prus.

Z przytoczonych powyżej powodów, nikogo z mieszkańców wsi nie zdziwiłoby specjalnie, gdyby to w tamtym czasie ich nauczyciel padł ofiarą szalejącej, straszliwej zarazy, nazywanej Mundfäule (zgnilizny ust), przywleczonej do ich wioski przez Chorwatów - Pandurów. Pandurzy byli jednym z ochotniczych oddziałów sformowanych przez barona von Trencka, walczących po stronie austriackiej. Te słynące z okrucieństwa oddziały zostały rozwiązane za przekraczający nawet ówczesne standardy, lekceważący stosunek do życia i mienia niewinnej ludności cywilnej.

Ta przywleczona przez nich swego rodzaju dżuma dotknęła każdą okoliczną wioskę i nie było dnia, aby ktoś nie zmarł na tę straszną chorobę. W tym czasie prawie cały Friederdorf wymarł - dżuma oszczędziła tylko kilka rodzin.

W tych strasznych czasach Stephan był wśród tych, którzy zmagali się z chorobą i leczyli ludzi ryzykując własnym życiem, wcale się tym nie przejmując. Czuwał nad chorymi dniami i nocą, kąpał ich, a nawet sam zmieniał im pościel. Obmywał ich uzdrawiającą wodą, której skład wymyślił i sam ją przygotowywał. Nie wstawał od łóżka gorączkujących ludzi, przysłuchiwał się ich rozmowom. Bywało, że umierający czekał na jego łagodne pocieszenie. Nawet wykopywał dla nich groby, zazwyczaj w ich własnych ogrodach i obsadzał je krzewami białych róż.

Kiedy zmarł jedyny wiejski cieśla, wspólnie z sędzią i dyrektorem szkoły w Jugowicach (Hausdorf), wykonywali trumny. Wszyscy jego sąsiedzi, rodzeństwo i przyjaciele ulegli tej strasznej chorobie przypominającej dżumę, on jednak pozostał zdrowy.

I nagle teraz, gdy tamte straszne czasy już minęły i przez kolejne lata nie pojawił się żaden nowy przypadek choroby, nagle sam zachorował. Przygotowano dla niego praktykowany wcześniej, domowy środek zaradczy: pokrojono żmiję i pocięto siedem dżdżownic, następnie wrzucono je do octu razem z kwiatami pożytecznej arniki. W takim leczniczym płynie zamoczono lnianą szmatkę i ułożono ją na obolałe usta nauczyciela. Kiedy szmatka wyschła, trzeba było jeszcze zakopać ją pod stopniami kościelnych schodów. Po tym choroba powinna zniknąć. Jednak te domowe sposoby, za pomocą których wyleczył wielu chorych, u niego nie zadziałały.

Opiekunowie mieli jeszcze nadzieję, że być może poprawa nastąpi w dniach kiedy ubywało księżyc. Dla wzmocnienia tej nadziei położono mu nawet Biblię pod poduszkę. Ale wszystkie wysiłki, troski i starania poszły na marne. I właśnie teraz miał zostać pochowany.

Na pogrzeb przybyli wszyscy mieszkańcy wsi: kobiety o płaskich klatkach piersiowych, przedwcześnie postarzałe wskutek ciężkiej pracy i licznych porodów, zgarbieni tkacze, silnie zbudowani drwale, szerokobarcyści rolnicy - wszyscy ci ludzie, których brązowe, ogorzałe twarze nosiły ślady ciężkiej walki o środki do życia, toczonych przy krosnach, na polach i w rozległych górskich lasach.

Był to piękny marcowy dzień, taki jaki rzadko zdarza się o tej porze w Górach Sowich. Złoty, słoneczny, pełen pierwszych oznak wiosny. Łąki zrzucały z siebie bezbarwność zimy. Młode plony lśniły pełną nadziei zielenią. Młynówka płynąca przez wieś, jak każdy górski strumień, niosła wodę ze śniegów z gór w dół doliny. Śnieg topniał nawet w ukrytych wąwozach. Na słonecznym zboczu rozkwiwały już kwiaty: żółte pierwiosnki, niebieskie jaskółcze ziele i blade liliowe anemony (jasnofioletowe zawilce).

Tu i ówdzie tworzyły się małe grupki ludzi. Rozmawiano o zmarłych. Zwykle ludzie ci nie byli tak rozmowni. Głęboka samotność gór zdołała odcisnąć piętno na ich naturze, a las otaczający ich domostwa, z jego marzycielską, ponurą ciszą, sprawił, że stali się samotnikami, walczącymi o przetrwanie w surowej górskiej przyrodzie. Tak ukształtowało ich codzienne, surowe życie toczące się w małych, odległych wioskach, pomiędzy wysokimi górami i głębokimi lasami. Dlatego swą pracę na polach, przy sianie i przy krosnach wykonywali zwykle w ciszy.

Jednak śmierć nauczyciela rozwiązała im języki. Było coś w powietrzu, czego nie potrafili wyjaśnić, a jednak wszyscy to czuli. W końcu Stephan był pierwszym nauczycielem w tej miejscowości...

Gdy Fryderyk Wielki zajął Śląsk w czasie I wojny śląskiej, zarządził, że dzieci w każdej wsi mają obowiązkowo chodzić do szkoły. Dlatego każda wioska musiała wybrać nauczyciela. Ponieważ mieszkańcy Friedersdorfu byli zbyt biedni, aby zatrudnić wykwalifikowanego nauczyciela, wymyślili, że to jeden z nich urządzi szkołę w swoim domu i mieszkając tam jednocześnie będzie nauczać dzieci. W ten sposób w lutym 1743 roku Stephan został wybrany na stanowisko pierwszego nauczyciela w Friedersdorfie. Cieszył się uznaniem wśród mieszkańców wsi, posiadał bowiem umiejętność czytania, pisanie a nawet liczenia do stu.

Pogrążeni w żałobie ludzie kierowali się do małego domku Stephana. Stojący nad strumieniem dom zbudowany był z drewna i pokryty słomą. Był kanciasty, niski, skrzypiący na zewnątrz i skrzypiący w środku. Ludzie tłoczyli się przed drzwiami i w środku, wewnątrz małego korytarza, gdzie znajdowały się też kręte schody wiodące na piętro. Nieśmiało zaglądali do pokoju, gdzie na dwóch stołkach stała trumna z jodłowego drewna, otoczona wysokimi woskowymi świecami umieszczonymi w błyszczących blaszanych świecznikach. Dym świec unosił się niczym mgła nad nieruchomą postacią. Palenie świec odstraszało demoniczne moce, które mogłyby próbować zbliżyć się do zmarłego, aby pojąć jego duszę...

Większość obecnych ludzi znała salę będącą teraz kostnicą ze swych własnych lat szkolnych...

Oni sami siedzieli kiedyś przy stojącym tam, długim stole z drewna klonowego i uczyli się czytać, pisać i liczyć. Na dużym krześle z wysokim oparciem i wytartą skórzaną tapicerką siedział on - dyrektor tej szkoły, pośród siedzących po obu stronach pulchnych dziewcząt i chłopców, dużych i małych.

Na wielkiej, jaskrawo pomalowanej skrzyni stał zawsze miedziany talerz, na który w soboty odkładali opłatę za szkołę: 6- fenigów za małych uczniów i 9 fenigów za dużych. Tyle wynosiła pensja pierwszego nauczyciela.

Wciąż wyraźnie pamiętali, jak ten wysoki, barczysty mężczyzna z ogoloną twarzą i siwymi lokami na czole, siedział w fotelu i palił fajkę, która była tak długa, że sięgała aż do podłogi. Od czasu do czasu szedł do „prochowni”, gdzie przechowywano lniane szmaty i zgniłe drewno bukowe. Za pomocą osadzonego w ścianie kawałka stali i przy użyciu kamienia w kształcie krzyża, wykrzesywał iskry, jednocześnie trzymając pod spodem kubek z prochem i

drobno rozdrobnionym węglem. Iskry padały do kubka z prochem, po czym zapalał się ten rozdrobniony węgiel. Następnie nauczyciel przykładał do niego nić siarkową i zapalał fajkę. Jego żona pracowała przy piecu i w dużych, glinianych garnkach gotowała posiłki dla ludzi i zwierząt. Potem do potężnego pieca wrzucała kłody przywiezione z lasu. Czasem przesuwała garnki, aby kontrolować gotowanie. Dym przedostawał się przez drzwi i okna, najpierw osmalając najbliższe ściany i sufit.

Poza stołem, piecem i dwoma łózkami, w kącie, stał jeszcze warsztat tkacki. Na parapecie kot ciągle pielęgnował swoją białą pierś, a pod stołem chrapał pies. Małe świnki kwiczały za piecem. Wiele osób pamiętało też, jak pewnego razu młoda koza nagle wpadła do pokoju i zaczęła się przewracać, gdy próbowała po raz pierwszy skakać.

Pokój ten był kiedyś wszystkim: salonem, sypialnią, kuchnią, stajnią i salą lekcyjną. Tutaj zaczęli od małego ABC. Uczyli się alfabetu w różnej kolejności, śpiewali do melodii wymyślanych przez nauczyciela, setki razy przepisywali te same litery. Poznawszy również duży, drukowany alfabet, musieli dzielnie go przeliterować, raz po raz, na dobre i na złe, ze łzami i ze śmiechem. Aż pewnego dnia odkryli, że w elementarzu mogą przeczytać też przykazania, hymny, opowieści i wersety biblijne. Ich lekturą był też katechizm i śpiewnik, czytali i przepisywali Biblię od początku do końca. Na arytmetyce uczyli się tabliczki mnożenia, najpierw na liczydło, potem w pamięci, w górę i w dół, do przodu i do tyłu. Tak długo, aż potrafili to robić nawet we śnie, podobnie jak odmawiać Modlitwę Pańską.

Zawsze miał w kieszeni suszone śliwki, które od czasu do czasu wkładał do ust, aby łatwiej było mu mówić. Po zakończeniu zajęć, musieli długi stół wyszorować piaskiem i wodą. To było w umowie z rodzicami. Droga powrotna zawsze była przyjemna. Gonili się po wrzosiach skacząc przez ogrodzenia. Często spodnie chłopców zaczepiały się o jakiś płot a spódnice dziewczyn rozdzierały się na cierniowym żywopłocie. Czasem zagrzechotała też szyba w oknie mijanego domu.

Ale jednej rzeczy nie mogli zapomnieć: jak nauczyciel umiejętnie wpajał im wizerunek Dzieciątka Jezus jako wspaniałego dawcy darów, powoli wprowadzając ich w wiarę w Jezusa Chrystusa, jak dzieciństwo Zbawiciela wplatał w znane baśnie, przygotowując ich stopniowo do zmierzenia się z całą mocą jego cierpienia.

Wtedy policzki nauczyciela zaczynały błędnąć, białe loki jeszcze bardziej wyzierały spod czerwonej, spiczastej czapki, a jego błękitne oczy błyszczały entuzjazmem. Następnie wstawał z fotela a oni byli całkowicie pod jego władzą, tak że wstrzymywali oddech, składając ręce w milczącym oddaniu i pochylając głowy w świętym lęku. Wtedy zapadała uroczysta cisza. Jakby anioł z nieba przelatywał przez ciemny, nędzny pokój i w pokoju robiło się jasno. Jakby z chmur spływał jasny blask, tak jakby Pan Jezus przechodził obok, zaglądał przez okno, patrzył i uśmiechał się.

Wszystko to przyszło teraz do głowy pogrążonym w żałobie i nie mogli pojąć, jak to możliwe, że on, który za życia był tak pełen siły i mocy, mógł teraz leżeć tak zupełnie beczynie, nieruchomo i bezradnie w trumnie. Rozmawiali cicho, niemal szeptem; jakby się bali, że mógł wszystko usłyszeć. A przecież mówiono o nim tylko dobre rzeczy.

Jego życie było pełne pracy. Kiedy przejął swój kawałek ziemi, połowa była pustkowiem. Teraz miał większość ziemi uprawnej we wsi. Samodzielnie wykarczował las, usunął dzikie krzewy, a także osuszył bagno, dzięki czemu trawa urosła tam bujnie i wysoko, jak nigdzie indziej. Już o świcie zabierał się do koszenia trawy, bo przecież łatwiej ją kosić, gdy jest na niej jeszcze rosa. Gdy zima zawitała w góry, gdy świerki i jodły łamały się pod ciężarem

śniegu, który niemal przysypał mały domek, polana płonęła w piecu a on gorączkowo rzucał członkiem tkackim przy swym warsztacie. Jego żona siedziała na ławce w kuchni i pilnowała by kołowrotek dobrze się kręcił. Gdy została jego narzeczoną Stephan podarował jej brazylijski kołowrotek z drewna inkrustowany masą perłową.

Ale było to także życie pełne trosk i zmagañ. Rolnicy i tkacze dobrze o tym wiedzieli. Pamiętali co kiedyś powiedział: „Jeśli upuszczę nóż lub widelec na stole, nie będę już w stanie zjeść ani jednego kęsa”. Ponieważ w grupie, gdzie oprócz niego i jego żony, jadło z jednej miski jeszcze 14 dzieci, ważnym było aby nadążać.

Gdyby Stary Fritz nie sprowadził ziemniaków na Śląsk, czasami nie wiedziałby, jak wyżywić cały ten tłum. Wykazał, jak błędne było przekonanie, że ziemniak jest szkodliwy dla zdrowia, chociaż magister Feige z Wüstewaltersdorfu (z Walimia) przestrzegał przed jego spożyciem.

Mimo pracy pełnej zmartwień i potu, Stephan nigdy nie był ponury. Uważał, że praca jest jedynym szczęściem, jakie człowiek może sam sobie dać.

Wieczorem, gdy dzieci poszły spać do sąsiedniego pokoju a kobieta postawiła duży garnek ze śmietanką na kamieniu pieca, aby śmietanka rozgrzała się przez noc na tyle, by rano można ją było ubić, on umieszczał świece w przenośnym świeczniku i je zapalał. Następnie po jednej stronie umieszczał przed światłem duży zielony abażur, a po drugiej stronie arkusz złocistożółtego papieru, aby radosne kolory rozlewały się po czarniawych ścianach i skromnych domowych sprzętach, przynosząc im radość i poczucie komfortu.

Goście pogrzebowi zbierali gałązki jodły rozrzucone na podłodze pomieszczenia wejściowego. Następnie podchodzili do trumny i układali gałęzie na ciele zmarłego, modląc się w duchu.

Tobias Wersig chciał zrobić to samo. Jednak podszedł niepewnie. Z trudem podniósł gałąź jodły z korytarza. Przełożył ją z jednej ręki do drugiej, ale nie mógł się zdobyć na to, żeby włożyć gałąź do otwartej trumny. Spojrzał bez mrugnięcia okiem na zmarłego. Wydawało mu się, że nieboszczyk otworzył powieki i spojrzał na niego przenikliwym wzrokiem. To było jak cios prosto w serce, zbladł jak trup, zachwiał się, po czym nieśmiało precisnął się przez drzwi i wyszedł na otwartą przestrzeń.

Nie pozostało to niezauważone. Wśród tłumu ludzi stojących wokół rozległy się szmery: „Patrzcie, zaczyna się coś niezwykłego. Dlaczego Wersig unika dotykania zmarłego? Przecież każdy, kto dotknie zmarłego a nie pogodzi się z nim przed śmiercią, zachoruje na tę samą chorobę. Czy Wersig się tego obawiał?”

Jednak nikt nie pamiętał, aby kiedykolwiek byli wrogami. Gdy w wiosce szalała zaraza (Mundfäule), nauczyciel często bywał w domu Wersiga i gdyby nie on, Wersig już od dłuższego czasu leżałby na górskim cmentarzu. Przywrócił zdrowie jego żonie i nawet zabrał jego dzieci do swego domu, aby chronić je przed zakażeniem, choć miał już dość swoich 14 dzieci.

Nawet gdy ktoś naprawdę odchodził od nauczyciela w gniewie, nazajutrz znów był jego przyjacielem. Wystarczyło, że spojrzał na kogoś swoimi ciemnymi, silnymi oczami, a gniew zamieniał się w miłość.

Traugott Scholz nadal wyraźnie pamiętał ostatni Nowy Rok. Nauczyciel chodził z grupą uczniów od domu do domu i jak nakazywał zwyczaj, śpiewali:

„Nadszedł Nowy Rok,
Przynosimy więc życzenia:

Złoty stół dla Pana,
Na każdym rogu smażona ryba,
A pośrodku kieliszek wina,
Aby mógł jeść, pić i się weselić.
Pani życzę złotej korony
i małego syna w Nowym Roku.
Synowi życzę konia osiodłanego,
aby mógł jeździć wcześnie i późno.
Stoję na szerokim kamieniu,
droga będzie dziś jeszcze dłuższa.
Słyszę jak Pan dzwoni kluczem: ,
pewnie przyniesie mi talara”.

Dzieci dostały już wszędzie podarunki za życzenia, a ich lniane torby wypełnione były precjami, jajkami, pieczonymi fajkami i rogalikami wafłowymi. Nauczyciel dostał w prezencie wiele pięknych monet. Dochód ten stanowił część jego wynagrodzenia.

Traugott Scholz nie dał dzieciom nic, a nauczycielowi dał jednego feniga. Zrobił to z chciwości. Wszystko było nadal tak wyraźne w jego pamięci, jakby wydarzyło się wczoraj. Dyrektor po prostu odwrócił się, żeby na niego spojrzeć, nie mówiąc ani słowa i patrzył na niego tak spokojnie, że zimny dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie. I kto wie o czym pomyślał, patrząc na niego takim wzrokiem.

Od starego do nowego roku nie powinno się pozostawiać brudu ani w domu ani w sercu, bo posiadanie nieczystego serca przez cały rok jest jeszcze gorsze niż posiadanie brudnego domu rok po roku. Przecież to jak się zachowujemy pierwszego dnia Nowego Roku, tak będziemy przeżywać cały rok.

Nie mieć szczęścia przez cały rok z powodu chciwości byłoby piekielnym życiem. Dlatego szybko pobiegł do domu, wybiegł z niego i popędził za nauczycielem. Dogonił go u sąsiada i dał mu błyszczącą srebrną monetę.

Właśnie teraz Traugott Scholz o tym sobie przypominał. Tymczasem wyniesiono trumnę. Kondukt pogrzebowy przeszedł wąską ścieżką w stronę cmentarza. Tobias Wersig pobiegł za nim jak biedny grzesznik. Pozostali wciąż się za nim oglądali. Był tam nadal, gdy kondukt pogrzebowy wjechał na teren cmentarza przez wąską bramę. Były to nieużytki i zawsze długo trwało, zanim masy śniegu w tym miejscu stopniały. Ale potem letnia zieleń pokrywała ziemię, a w żywopłotach z dzikich róż przy zawalonym, cmentarnym murze gnieździły się pliszki. Groby wystawały ponad poziom gruntu tylko nieznacznie. Krzyże wykonane z drewna i kutego żelaza służyły czci zmarłych.

Pastor poświęcił grób nauczyciela. W tym momencie nad szczytem Wielkiej Sowy (Hohe Eule) pojawiła się siarkowożółta chmura. Dopóki tam nie dotarła nikt jej wcześniej nie widział. Nagle w dolinie zapadła ciemnogrnatowa noc. Ale najcudowniejsze było to, że wszystkie góry wokół nadal były skąpane w słońcu.

Rozpętała się burza. Niepodziewanie wielka błyskawica rozbłysła niebiesko-czerwonym płomieniem i natychmiast rozległ się grzmot. Wśród żałobników powstało silne poruszenie. Mimo że przywykli do gwałtownych burz w górach, nigdy nie doświadczyli takiej burzy w marcu.

Nagle płomienie buchnęły gdzieś w dolnej części wsi niczym gigantyczne latarnie morskie. Blask ognia padał na pobliskie wzgórze Spitzberg (Ostrzew). To płonął dom Versiga.

Wszyscy pobiegli z cmentarza, chcąc schronić się gdzieś pod dachem, ale burza skończyła się zaraz po tym jednym uderzeniu. Chmura siarki zniknęła za Hoher Hahn (dzisiaj to wzgórze nazywa się Kokot). Słońce ponownie rozświetliło dolinę swoim blaskiem. Niebo było bezchmurne i głęboko błękitne. Nie było najmniejszego powiewu wiatru.

Tobias Wersig został sam na cmentarzu. Stał nieruchomo, jakby nie mógł ruszyć się z miejsca, wpatrując się z przerażeniem w otwarty grób. Pożar jego gospodarki nadal się rozprzestrzeniał. Ale on się nie poruszył. Krzyczał nieustannie: „A niech się pali!”

Nikt nie potrafił wyjaśnić jego niezrozumiałych poczynań. Musiało to mieć jakiś związek z jego dziwnym zachowaniem w domu pogrzebowym. Dlaczego nie dotknął zmarłego? Pożar nadal się rozprzestrzeniał. Stajnia i stodoła również stanęły w płomieniach. Tobias Wersig rzucił się do otwartego grobu i zapłakał.

Było to zeszłej jesieni. Starał się już o tym nie myśleć, lecz na widok zmarłego przypominał sobie, jak źle go potraktował, choć ten przecież okazywał mu mnóstwo dobroci. To dlatego, wiedząc, że nie jest w porządku, nie mógł go dotknąć!

Po zbiorach nauczyciel jeździł wozem drabiniastym od gospodarstwa do gospodarstwa, aby pobrać od gospodarzy należny mu, tradycyjny snopek zboża, nazywany „ognistym snopem”. Taki był zwyczaj. W zamian nauczyciel miał obowiązek dzwonić w czasie burzy, aby ostrzegać mieszkańców przed uderzeniami pioruna, chroniąc w ten sposób ich dobytek przed pożarem.

Wersig przez długi czas oddawał mu najlepszy snop ze swojej stodoły i zawsze na wiosnę jakoś mu wystarczało, ale tym razem pomyślał, że jeśli straci najlepszy snop, późną wiosną może mu zabraknąć zboża. Po prostu nie wybrał tego najlepszego, z wozu pełnego dobrych snopów, lecz oddał najgorszy snop, taki z trującym grzybem i przypaloną słomą.

Gdyby tylko wtedy wiedział, co go za to spotka.

Teraz jego majątek uległ zniszczeniu w ogniu. Za swe skąpstwo otrzymał odpowiednią karę. Stara prawda mówi: „Ktokolwiek odrzuca snop ognia lub daje zły snop, piorun wpadnie w jego dom”. Teraz chętnie zgodziłby się być nawet biednym, gdyby tylko mógł cofnąć to oszustwo. Ale było już za późno. Ten, kto tam leżał, nie mógł już nic widzieć ani słyszeć. Wersig nie mógł znieść myśli, że przez całe życie będzie musiał nieść ze sobą poczucie winy...

Pożar ugaszono. Niebo, krwawe od odbłasków, zbladło. Z domu, stajni i stodoły pozostały jedynie fundamenty.

Grabarz poszedł na cmentarz, aby zakopać grób. Tobias Wersig leżał na trumnie nauczyciela. Obaj byli martwi. Wersig doznał zawału serca, musiał wpaść do otwartego grobu.

Ludzie gór zbierali się w domach. Nigdy wcześniej tego nie robili. Dotąd nie znali i nie potrzebowali żadnej towarzyskości; byli nieśmiali, powściągliwi i małomówni wobec siebie. Jednak straszne wydarzenia na pogrzebie ich nauczyciela nie pozwoliły im zaznać spokoju. Rozmawiali ze sobą, próbując jakoś wyjaśnić sobie tę potworność. Nikt jednak nie litował się nad losem Tobiasa Wersiga. Ludzie tacy jak oni, którzy stali się twardzi a nawet zatwardziali w poważnej walce o byt, mają również wobec innych serca twarde jak stal.